



Patrick Edwards

Misja specjalna

Patrick Edwards

MISJA
SPECJALNA

© Copyright by Patrick Edwards & e-bookowo
Projekt okładki: Patrick Edwards
ISBN 978-83-7859-108-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Szanowni Państwo,

wielu było, jest i będzie pisarzy zajmujących się tematyką science fiction. Każdy z nas chce przedstawić swoim potencjalnym czytelnikom utwory napisane w sposób niecodzienny, ciekawy, z nutą grozy. Czytając klasyka literatury przygodowo -fantastycznej, jakim był Juliusz Verne, nikt nie przypuszczał, że jego pomysły okażą się przepowiednią przyszłości. Nie trzeba było długo czekać, by stały się codziennością.

Prezentowana Państwu książka może też, w niedalekiej przyszłości, okazać się równie trafną przepowiednią codzienności, jak to miało miejsce z proroczymi pomysłami Juliusza Verne'a.

Na taką okoliczność chciałbym Państwa przygotować, by to, co nadejdzie, nikogo nie zaskoczyło i nie zestresowało.

Patrick Edwards

Składam serdeczne podziękowania
Żonie, jak i moim przyjaciołom
za pomoc w napisaniu tej książki.

Patrick Edwards

Rozdział 1

Olimp – planeta Wadela – galaktyka Ganzela – rok 11008

Turkusowy nieboskłon Wadeli wolno się ściemniał. Mamaja, jedna z dwóch życiodajnych gwiazd planety, zbliżała się niespiesznie ku zachodowi, kończąc pierwszą część dnia. W tym samym czasie, tuż obok miejsca, gdzie ginęła za horyzontem Mamaja, wschodziła jej bliźniacza siostra Kamaja. Ten krótki, codzienny moment stanowił na Wadeli największą turystyczną atrakcję, ściągając licznych turystów z innych planet, a nawet galaktyk.

Na centralnym tarasie widokowym Rika, na jednym ze wzniesień wysokich gór Karmoza, oczekiwało na to zjawisko kilkuset turystów.

Wysyłane przez Mamaję ostatnie, krwistoczerwone promienie oświetlały zaledwie najwyżej położoną część miasta, a także góry. W tej malowniczej scenerii, u podnóża dzikich, krystalicznych gór, rozpościerało się aż po horyzont miasto Olimp. W nim właśnie skupione były najważniejsze urzędy planety, a także wszystkie dyplomatyczne przedstawicielstwa innych planet akredytowanych na Wadeli.

To wspaniałe szklane miasto patrzącemu z wysokiego, górującego nad miastem tarasu wydawało się olbrzymią makietą o wyraźnych kształtach, wkomponowaną w krystaliczne góry Karmoza. W zapadającym mroku, trwającym zaledwie osiem minut, stawało się ono niepowtarzalną krainą kolorowego światła i przepięknej relaksującej

muzyki, dochodzących z każdej jego części i zaułka.

Okrzyki zachwytu wpatrzonych w horyzont turystów stawały się coraz głośniejsze i bardziej spontaniczne. Był to sygnał rozpoczęcia kulminacyjnego momentu atrakcji dnia.

Wstająca Kamaja ukazała fioletowy skrawek swojej olbrzymiej tarczy w momencie, kiedy wystawała jeszcze ponad horyzont zachodząca, krwistoczerwona Mamaja. Wyglądało to, jakby dotykały się, jakby tworzyły jedną, dwukolorową, olbrzymią literę „M”. Przez krótki, trwający zaledwie minutę moment, kolory ich, pulsując, zmieniały się, emitując z siebie intensywne gamy odcieni.

Profesor Irm Kara, przewodniczący Naczelnej Izby Starszych na Wadeli stał w oknie swojego gabinetu głęboko zamyślony. Patrząc bezwiednie na pograżające się w ciemności miasto, zmuszony był podjąć ostateczną decyzję w sprawie ocalenia Ziemi. Wszystkie dane, jakie otrzymywał z odległej Ziemi, wskazywały na jej nieuchronnie zbliżającą się zagładę. Wszelkie podejmowane do tej pory próby ocalenia Ziemi, którą Wadelczycy otaczali opieką przez tysiące lat, kończyły się zawsze fiaskiem.

– Nie mam innego wyjścia - powiedział do siebie głośno profesor. – Musimy ściągnąć z Ziemi te bliźniaki. To ostatnia szansa ocalenia planety przed okrutnymi Perakami, a także przed nieodpowiedzialnymi mieszkańcami Ziemi.

Doskonale wiedział, że w jego rękach jest życie miliardów niewinnych ludzi żyjących na Ziemi. Wiedział też, że jeżeli dłużej będzie czekał z ogłoszeniem swojej decyzji, świadomie oddali możliwość uratowania Ziemian skazanych na całkowitą zagładę.

Mimo że już przesądził sprawę, gryzło go sumienie.

- Już czas, profesorze – usłyszał z głośnika głos sekretarki.

Werrara, torpedowy ślizgacz Zeus 11, zatrzymała się tuż przy wyjściu z jego gabinetu. Jedno spojrzenie KI-5, jego sekretarki, wystarczyło, by odgadła, że szef ciągle

walczy ze swoim sumieniem.

– Wygląda pan, profesorze, na wyjątkowo zmęczonego. Może jeszcze przed posiedzeniem wezwę doktora Brooka.

– Dziękuję ci, moja droga, za dobre chęci, ale nie ma na to już czasu, zresztą chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

– Nie zazdrozczę panu tego, co przeszedł pan przez ostatni tydzień.

– Jesteś bardzo mądrą kobietą – powiedział głośno profesor, patrząc jej w oczy.

– Musi pan zacząć uważać na siebie.

Odprowadziła go wzrokiem do rozsuwających się przed nim drzwi. Siadając w fotelu ślizgacza, ciągle czuł wpatrującą się w niego sekretarkę i uśmiechnął się.

– Myślę, KI-5, że wybrałem mniejsze zło, ale to okaza się dopiero w przyszłości. Wciskając przycisk Forum, spuścił głowę, oczekując startu. Piąty, bezkolizyjny kanał, jakim jechał, był prawie pusty. Ostre promienie Kamai oświetlały miasto, w którym toczyło się normalne życie. W połowie drogi zmienił automatycznemu pilotowi trasę dojazdu do budynku Naczelnej Rady Starszych. Nie miał ochoty ani siły udzielać wywiadów wścibskim dziennikarzom, którzy doskonale orientowali się w trwającym od lat problemie. Wolno wracało w nim życie. Włączając podgląd sali obrad, na której miał ogłosić swoją ostateczną decyzję, zdał sobie sprawę, że cała rada czeka wyłącznie na niego. Ślizgacz zatrzymał się w trzeciej alei. Wydając mu polecenie powrotu do bazy, stanął na szybkobieżny chodnik, dojeżdżając nim od tyłu do holu, z którego prowadziło wejście na salę obrad.

– Dobrze, że pan już jest – nerwowe zachowanie jego doradcy wskazywało na jakieś nowe problemy.

– Co się stało, że jesteś tak zdenerwowany?

– Otrzymaliśmy przed paroma godzinami najnowszy raport o sytuacji na Ziemi.

– I co?

– Nie wygląda to najlepiej. Błyskawicznie nasila się tempo gromadzenia broni atomowej w państwach, które

od lat są sobie wrogie. W każdej chwili może nastąpić to, czego się obawialiśmy.

–Panie przewodniczący, proszę na sale – usłyszał głos Marszałka Zgromadzenia.

–Miejmy nadzieję, że wszystko szczęśliwie się zakończy. Bądź u mnie w gabinecie po posiedzeniu.

Wchodząc na salę obrad, czuł na sobie przenikliwe spojrzenia senatorów.

– Panie przewodniczący, jest pan gotów ogłosić nam swoją decyzję? – usłyszał ponownie głos marszałka.

– Tak, jestem gotowy.

– Prosimy zatem o zabranie głosu.

Profesor Irm Kara zbliżył się do mównicy, obejmując wzrokiem siedzących w półkołu senatorów.

– Postanowiliście, panowie senatorowie, oddać w moje ręce ostateczną decyzję w sprawie uratowania Ziemi od zagłady. Po wnikliwym przeanalizowaniu wszystkich możliwych wariantów postanowiłem, że któryś z naszych szafonów poleci na Ziemię w celu przywiezienia na Wadę Ziemiaków wybranych przez specjalistyczne komputery. Była to dla mnie trudna decyzja. Jestem świadomy tego, że moja decyzja godzi w istniejące na Wadeli prawo i gotowy ponieść za to odpowiednie konsekwencje. Myślę jednak, że jeżeli nie jest już za późno i uda się zrealizować nasz plan, będziemy mieć satysfakcję, że uratowaliśmy od zagłady miliardy ziemskich istot. To moja decyzja. Jeżeli uważacie, panowie senatorowie, że to postanowienie jest błędne, postąpcie inaczej, według uznania. Każdy z nas wie, że jest o co walczyć. Uważam, że decydując się na takie rozwiązanie, wybrałem mniejsze zło. Wszelkie inne spowodowałyby panikę i popłoch na całym ziemskim globie.

Po trwającej parę sekund ciszy zabrzmiały huczne oklaski, świadczące o całkowitej akceptacji decyzji profesora Irma Kary.

– To wszystko, panowie senatorowie, co miałem wam do powiedzenia. Mam jednak do was jedną, jedyną proś-

bę.

Odczekał chwilę, patrząc na siedzących mężczyzn.

– Chciałbym być powiadamiany o każdym, powtarzam, każdym kroku, jaki zostanie podjęty w celu sprowadzenia tych dzieci. Chciałbym też mieć nad nimi pełną kontrolę po ich przylocie.

– Nie widzę żadnych przeszkód, panie przewodniczący, by miało być inaczej – odezwał się marszałek zgromadzenia.

– Jeżeli nie macie teraz, panowie senatorowie, nic przeciwko temu, chciałbym was opuścić i w zaciszu swojego gabinetu odpocząć trochę.

Stojąc jeszcze na mównicy, ponownie rozejrzał się po sali, gdzie w górę zostały uniesione świecące, zielone lizaki, świadczące o akceptacji zebranych.

– Dziękuję wam, panowie. Opuszczając salę obrad, sły-
szał za plecami gromkie brawa.

Planeta Pera – galaktyka Ganzela – data:

12.11.4176

Wygląd Pery, największej planety w galaktyce Ganzela, przypominał wymarły, pozbawiony jakiegokolwiek życia ląd, którego powierzchnię tworzyły w całości nagie, zielone skały. Na pograżonej w nieprzerwanym, głębokim mroku planecie nadchodził czas wzmożonej aktywności robotów, spełniających rolę żołnierzy. Ze skalnych szczelin, których bramy wolno rozsuwały się, wypełzały w równych, skorygowanych szeregach postacie o płaskich głowach i pobłyskujących korpusach wykonanych z tytanu.

– Natychmiast wezwij do mnie Sidama. Chcę też mieć zaraz raport o stanie liczebnym robotów gotowych w każdej chwili do wylotu. Siedzący na puszystej poduszce Imbitus wsadził do ust pastylkę arami, która zaspokajała całodobowy głód.

– Jak Wasza Dostojność każe. Duruka, który spełniał rolę osobistego sekretarza dyktatora Imbitusa, skłonił się, wychodząc pospiesznie z pomieszczenia. Za nim niósł się szelest rażącego szkarłatem ubrania.

– Sidam, zgłoś się – powiedział do wideotelefonu umieszczonego we wnęce wypolerowanej płaskiej skały.

– Jestem. Co się dzieje?

– Masz natychmiast przyjść do Naszego Pana. Ćwiczenia robotów zleć Mirostowowi. Mogę cię zapewnić, że sobie z nimi poradzi i nie stracą dużo mniej prądu niż przy tobie.

– Już jadę, będę najdalej za pięć minut.

– Zaczekaj, Nasz Pan życzy sobie raportu o faktycznym

stanie gotowych do wylotu robotów.

– Zrobiłem go, jak tylko wstałem z odświeżenia, myślę że będzie z niego bardzo zadowolony.

Kończąc rozmowę z Sidamem, Duruka spostrzegł wychodzącego ze skalnego załamania Idora.

– Gdzie tak pędzisz, zaczekaj! - krzyknął za nim.

– Nie mam teraz czasu, Nasz Pan awaryjnie mnie wzywa.

Duruka, wchodząc jako pierwszy do pomieszczenia Imbitusa, zwrócił się do niego.

– Jaśnie Pan życzył sobie widzieć Idora.

– Tak, wpuść go – powiedział Imbitus, podnosząc się z puchowych poduszek.

Oj, będą kłopoty, pomyślał Duruka.

– Jaśnie Pan mnie wzywał – skłonił się Idor.

– Tak, doszły do mnie słuchy, że twoi agenci wysłani na Ziemię nie wykonali powierzonego im zadania. Dlaczego mnie o tym nie poinformowałeś?

– Najjaśniejszy Panie, wysłałem na Ziemię dwóch najlepszych agentów, którzy nigdy dotąd nie zawiedli. I tym razem stanęli na wysokości zadania.

– Chcesz mi powiedzieć, że twoi ludzie zlikwidowali te bliźniaki, którymi tak bardzo szczeni się Wadela?

– Jeszcze nie, Najjaśniejszy Panie, ale są oni pod całkowitą kontrolą naszych ludzi. Żadne porwanie przez Wadelczyków nie wchodzi w rachubę.

– To mi się podoba. Masz jakieś nowe wieści z Wadeli?

– Wszystko jest pod kontrolą, Najjaśniejszy Panie. Obecnie nic ciekawego tam się nie dzieje. Wszyscy czekają na przyłot tych młokosów.

– Chciałbym znać każdy szczegół. W razie potrzeby leć na Ziemię i sam dopilnuj, by nie doszło do zabrania ich na Wadelę. Automatyczne drzwi rozsunięły się i do salonu ponownie wszedł Duruka.

– Jaśnie Panie, Sidam czeka zgodnie z rozkazem.

– Wpuść go.

– Jeżeli zlikwidujesz mi tych bliźniaków, otrzymasz na-

grodę – zwrócił się do wychodzącego Idora.

– Zrobię wszystko, co tylko możliwe, by Jaśnie Pan był zadowolony.

Gdy mijali się w drzwiach z Sidamem, spojrzeli na siebie, nie zamieniając słów.

– Jaśnie Pan chciał mnie widzieć.

Podchodząc do kryształowej, długiej płyty, jaką było biurko Imbitusa, Sidam położył na niej swój raport.

– W jakiej kondycji są obecnie nasi żołnierze?

– Po próbach na tysiącu robotów, Wasza Wysokość, wynalazek profesora Rara spełnił wszystkie nasze oczekiwania. Roboty są silniejsze o dwadzieścia jeden procent, pełen wysiłek w kompletnym cieniu zwiększył się o jedenaście procent, a wprowadzony program pozwala przypuszczać, że ich agresja się podwoiła. Wszystko, co dotyczy robotów, znajdzie Wasza Wysokość w moim raporcie.

– Jaką ilością szafonów dysponujemy w chwili obecnej?

Sidam podszedł do swojego raportu i chwilę przewracał kartki.

– Szafronów bojowych, Wasza Wysokość, mamy dwadzieścia trzy tysiące, tyle samo transportowych, a niewydzielnych o dużym zasięgu – sześć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt.

– Rozumiem, że wszystkie są w każdej chwili gotowe do startu.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Świetnie, to mi się podoba.

Imbitus obszedł stojący na środku stół i podszedł do Sidama, wyciągając z kieszeni przezroczystą folię przypominającą ziemską kopertę.

– Powiedz mi, Mirostow dałby sobie radę z robotami, gdyby ciebie zabrakło?

Sidam spojrział na swojego pana, nie bardzo wiedząc, co ma o tym myśleć.

– Myślę, że tak. Przez ostatnie lata zdobył przy mnie spore doświadczenie, a jego ambicja i zaangażowanie są

bez zarzutu.

Imbitus wyciągnął z folii mały, płaski ekran przypominający grubością kartkę papieru i podał Sidamowi.

– W takim razie przeczytaj, co napisałem.

Strach i niepewność Sidama sięgnęły zenitu, kiedy uruchamiał monitor.

Poufne!

Wysyłam cię na Ziemię. O twojej misji nikt nie ma prawa wiedzieć. Dokładne instrukcje masz na zaszyfrowanym dysku.

Przenosząc wzrok z Imbitusa na tekst, zauważył, że czytane przed chwilą słowa uległy zniszczeniu.

– Jak Wasza Wysokość każe. Nie spodziewałem się takiego wyróżnienia.

– Idź teraz i zapoznaj się ze wszystkim.

Wręczając mu foliową kopertę, w której znajdował się dysk, dodał:

– Wierzę, że dzięki tobie odniesiemy sukces.

Planeta Ziemia – Polska – Kraków – 8 września 1978

Na korytarzach Wydziału Fizyki i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego od wczesnego rana panował wzmożony ruch. Niezliczona ilość studentów przemieszczała się z jednych sal wykładowych do drugih, robiąc przy tym wielkie zamieszanie.

– Poczekajcie tutaj, dowiem się, gdzie jest gabinet profesora Benedykta Ziemby.

Jaś i Małgosia Michalscy posłusznie stanęli pod ścianą, patrząc za oddalającym się nauczycielem fizyki.

– Czy tam w Londynie też tak będzie to wyglądać? – spytał Jaś.

– Z tego, co mówił pan Wojcicki, na każdej uczelni jest podobnie. Myślę, że można mu wierzyć.

– No, już jestem, wszystkiego się dowiedziałem. Jesteście gotowi na tę rozmowę?

– Myślę, panie profesorze, że im szybciej załatwimy to spotkanie, tym więcej zaoszczędzimy nerwów.

– Słusznie mówisz. Zdaje mi się, że wasza sprawa jest już dawno załatwiona, a ta dzisiejsza rozmowa to tylko pro forma. Idąc wolno korytarzem, zostawili za sobą gwar i szum, jakiego doświadczyli, wchodząc do budynku.

– To tu – nauczyciel wskazał im pokój, gdzie na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem dziekana wydziału profesora Benedykta Ziemby. Jaś spojrział na skupioną twarz siostry i trącił ją łokciem.

– Nie przejmuj się tak bardzo, bo wyglądasz okropnie.

Wchodząc za nauczycielem do sekretariatu, zobaczyli elegancko ubraną kobietę w średnim wieku piszącą na

maszynie.

–Dzień dobry pani. Jesteśmy umówieni z profesorem Ziembą. Nazywam się Wojcicki, a to moi uczniowie...

–Wiem, wiem o wszystkim. Zaraz spytam, czy profesor was przyjmie.

Przechodząc koło Jasia, sekretarka szepnęła:

–Powodzenia, chłopcze. Myślę, że macie przed sobą fantastyczną przyszłość.

–Dziękuję pani.

Otwierając drzwi gabinetu profesora, powiedziała:

–Profesorze, pan Wojcicki z uczniami proszą o rozmowę.

–Nareszcie doczekaliśmy się ich – powiedział profesor z wyraźną ulgą.

Wchodząc za nauczycielem do gabinetu, Małgosia wciągnęła głęboko powietrze, czując miły zapach perfum. W gabinecie oprócz profesora siedziało dwóch mężczyzn, paląc cygara.

–Witam pana, panie Wojcicki, jak również witam młodzież, na którą szczególnie czekaliśmy. Pozwolą panowie, że wam przedstawię – magister Wiesław Wojcicki i jego uczniowie Małgosia i Jaś Michalscy, o których przed chwilą rozmawialiśmy. To panowie, którzy przylecieli do nas specjalnie z Londynu, profesor Roger Williams i doktor David Hussey.

– Cieszę się, że osobiście możemy was poznać.

Profesor Roger Williams wstał i podszedł wolno do Jasia i Małgosi. Stojąc za bratem, Małgosia miała okazję przyjrzeć mu się z bliska. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną koło sześćdziesiątki. Jego elegancko przystryżone, siwe włosy i ładnie prezentujące się na twarzy przyciemnione szkła okularów, osadzone w złotych ramkach, wskazywały na typowego angielskiego dżentelmena. O jego ubraniu też nie mogła powiedzieć złego słowa. Pod doskonale dopasowaną do figury czarną marynarką bieliła się koszula ozdobiona muszką w czarne groszki.

– Wiecie na pewno, że nasz uniwersytet w Oxfordzie

w nagrodę za osiągnięcia wyraził zgodę na przyjęcie was na studia o kierunku matematycznym. Czy nadal jesteście zainteresowani tą ofertą?

– Oczywiście, bardzo. Chcieliśmy podziękować za wyróżnienie, jakie nas spotkało – skromnie powiedział Jaś.

Doktor David Hussey, siedząc bokiem do rozmawiających, spojrzął na leżącą w sporej odległości dyplomatkę, która sama zbliżyła się do niego. Szukając w niej chwilę, wyciągnął parę zadrukowanych kartek. Jaś, patrząc na doktora Hussey'a, podziwiał jego sprężyste, szybkie ruchy i doskonały angielski akcent. Zwrócił też uwagę na bardzo charakterystyczną twarz o mocno wysuniętej do przodu szczękę.

– Profesorze, wszystkie dokumenty mamy już podpisane. Pozostają tylko oświadczenia tych młodych ludzi i cała dokumentacja będzie kompletna.

– Doskonale. Podpiszcie nam te oświadczenia. Kładąc przed bliźniakami gotowe do podpisu formularze, zwrócił się do profesora Ziemby.

– Zawsze podziwiałem młode talenty, ale muszę przyznać, że w swojej karierze tak młodych i zdolnych jeszcze nie spotkałem.

– Wszystko to, profesorze, jest zasługą wykładowców, takich jak pan Wojcicki. Sekret, panowie, w tym, że trzeba umieć młodzież czymś zainteresować, a następnie wolno pogłębiać w nich żądzę wiedzy.

– Doskonale pan to ujął, profesorze - Wojcicki uśmiechnął się. Doktor David Hussey zebrał ze stolika podpisane przez bliźniaków oświadczenia.

– Miałbym do panów prośbę – dodał nauczyciel bliźniaków – chciałbym dostać kopie dokumentów, jakie podpisali moi uczniowie, dla szkolnego archiwum. Jeżeli panowie nie mielibyście nic przeciwko temu, to zrobiłbym też kilka zdjęć. Podobnie jak dokumenty, przekazałbym je do archiwum naszej szkoły.

Hussey spojrzął jakby z obawą na Wiesława Wojcickiego.

– Nie widzę żadnego problemu - powiedział po chwili.
– Zaraz dostanie pan kopie. A co do zdjęć, doskonale pana rozumiem. Ja też prowadzę takie archiwum, tylko że rodzinne.

– Ustawcie się, moi drodzy i proszę o uśmiech - zarządził profesor Ziemba.

Doktor Hussey, nie zwracając uwagi na jego słowa, odwrócił się, trzymając w ręku podpisane przez bliźniaków dokumenty.

– Zapraszamy, panie doktorze, do wspólnego zdjęcia - ponaglił go gospodarz.

– Już idę, oto pańska kopia – zwrócił się doktor Hussey do Wojcickiego. Małgosia, widząc zażenowanie na twarzy nauczyciela, omal nie parsknęła śmiechem.

– Myślę, że dokonaliście świetnego wyboru, decydując się na nasz uniwersytet. Spotykamy się w moim gabinecie dwudziestego pierwszego października. Gdybyście mieli jakieś kłopoty z przylotem, proszę mnie uprzedzić. Na podanej przez doktora Hussey'a dłoni Jaś zauważył pomiędzy palcami drobne, złotego koloru gwiazdki.

Planeta Ziemia - angielska wyprawa archeologiczna - Egipt - okolice Gizy - 12 km od Kairu - 12 października 1978

Wczesny, październikowy poranek wyraźnie różnił się od tych, które do tej pory spędzili na egipskiej pustyni. Powietrze było duszne i z każdą chwilą robiło się coraz bardziej upalne. Błękit nieba i pustynny piasek stały się dla uczestników archeologicznej wyprawy monotonnymi widokami codziennego dnia. Wokół małego palmowego zagajnika, w którym mieścił się ich obóz, rozstawione były namioty zastępujące im mieszkania, a zawieszona na środku polany plandeka chroniła od prażącego, gorącego słońca. Przy rozstawionych pod plandeką składanych stołach siedziała, jak co dzień, cała ekipa archeologiczna łącznie z profesorem Pauliem Fultonem, pełniącym rolę kierownika i jednocześnie koordynatora wyprawy.

– Koleżanki i koledzy – odezwał się profesor Fulton – wydarzenie, jakie miało miejsce wczoraj podczas pracy, zasługuje na omówienie i pewne wyjaśnienie. Trzymając kubek, w którym była poranna kawa, zamilkł i spojrzał po wszystkich.

– Otóż nigdy w swoim życiu nie wierzyłem w żadne, powtarzam, żadne siły nadprzyrodzone. Jednak to, co zdarzyło się wczoraj, jak do tej pory jest naukowo niewytłumaczalne. Przyznacie mi rację, że śmierć trzech robotników, którzy pracowali najbliżej komory grobowej w piramidzie Cheopsa, w tym samym czasie, nie może być przypadkiem. Dzisiaj, krótko przed naszym spotkaniem, zostałem powiadomiony, że sekcje ich zwłok wykazały, że przyczyną śmierci było dziewięciokrotne przekroczenie

normy napromieniowania izotopem promieniotwórczym. Jako kierownik wyprawy od tej chwili kategorycznie zabraniam, aż do odwołania, zbliżania się pod jakimkolwiek pretekstem do piramidy Cheopsa. Dzisiejszy dzień ogłaszam dniem wolnym od pracy, ale chciałbym się z wami tu spotkać w porze obiadowej. Macie jakieś pytania?

– Tak, ja mam.

Doktor John Millen, który siedział przy ostatnim stole, wstał i wolno podszedł do Fultona.

– Skoro powiedziałaś, że ci robotnicy byli napromieniowani izotopem promieniotwórczym, może byłoby dobrze, byśmy wszyscy poddali się badaniom. Każdy z nas, krócej lub dłużej, przebywał koło tej komory grobowej.

Fulton, zapalając papierosa, spojrzał na kolegę, myśląc chwilę.

– Masz rację, zaraz zapytam, kiedy byśmy mogli przejść badania. Coś jeszcze?

– Wiesz może, gdzie została przewieziona mumia, którą znaleźliśmy?

Zdejmując słonkowy kapelusz, doktor William Ramplin utkwiał wzrok w Fultonie.

– Mumia, mój drogi, badana jest w Zakładzie Medycyny Wojskowej w Kairze. Macie jeszcze jakieś pytania? Profesor Fulton rozejrzał się po zebranych.

– Życzę dobrego wypoczynku i spotykamy się w porze obiadowej.

Kiwając ręką na Millena i Ramplina, poczekał, aż pojdą.

– Chciałbym z wami porozmawiać – powiedział poważnie.

Siadając przy stole, wydobyl z kieszeni kartkę papieru i położył na stole.

– Zapewniam was, że tym razem to, co chcę wam powiedzieć, nie jest z mojej strony żadnym kawałem.

– Co zabawnego znowu wymyśliłeś? – przerwał mu John Millen, znając jego poczucie humoru.

– Mówię serio. Wyobraźcie sobie, że dzisiaj rano do-

stałem pierwsze, wstępne dane o znalezionej przez nas mumii. A teraz uważajcie. Jej wiek, oczywiście w dużym przybliżeniu, został ustalony na dwadzieścia tysięcy lat.

– Dobry kawał – uśmiechnął się tym razem William Ramplin.

– To nie kawał ani żart. Wyobraźcie sobie, że po raz pierwszy we współczesnej nauce została wysunięta teza, że nasza mumia nie należała do istot zamieszkujących Ziemię. A teraz najciekawsze. Podczas badania wykryto, że z jej wnętrza, w nieregularnych odstępach czasu, wydobywa się promieniowanie radioaktywne. Lekarze i naukowcy badający naszą mumię uważają, że postać ta żyje, ale jest jakby pogrążona w głębokiej śpiączce. Co wy na to?

– Mówisz poważnie? Przyznasz, że to, co powiedziałaś, wygląda dość fantastycznie.

– Przyznaję, ale mówię wam prawdę. Wspomniałem wczoraj, że ma do nas dołączyć wybitny znawca starożytnego Egiptu doktor David Hussey, który pomoże nam rozpracować znaną mumię. Myślę, że w najbliższych dniach możemy się go spodziewać.

– Nigdy o nim nie słyszałem – stwierdził Millen.

– Ja też nie, ale ministerstwo bardzo pochlebnie się o nim wyraża. Pamiętacie... Raptowny kaszel wstrząsnął ciałem profesora. Doktor John Millen, dopijając kawę, spojrzał na kolegę.

– Wygląda, że przeziębilem się w tym skwarze. Wracając do tematu, zapewne pamiętacie głośną sprawę sprzed lat o międzynarodowej wyprawie archeologów w te okolice. Do dzisiejszego dnia nikt z nich nie przeżył, a ich śmierć była i pozostaje nadal niewytłumaczalna dla współczesnej medycyny.

Planeta Ziemia - Polska - wieś Zakole Małe – 17 października 1978

Do klasy budynku liceum ogólnokształcącego wpadały jesienne promienie słońca. Czekał na nauczyciela fizyki, Jaś Michalski opierał się o parapet i wpatrywał w wolno snujące się nad górami dymy palących się ognisk.

– Będzie ci brakować tego widoku. Słyszając głos Bogusia, odwrócił się. Jego twarz wyrażała smutek. Był wysokim, dobrze zbudowanym chłopcem o ziemistej cerze. Czarne, krótko ostrzyżone włosy i złote oprawki okularów dodawały mu powagi.

– Na pewno będzie mi tego brakować, jak wszystkiego, w czym się tu wychowałem. Najbardziej będzie mi brakować was.

– Nie będzie tak źle. Utrzymamy przecież stały kontakt, a na każde wakacje będziecie do nas przyjeżdżać.

– Będziemy, ale doskonale wiesz, że to nie załatwia sprawy.

– Żebyś nie był tak poważny, przeczytaj, co pisze dziś „Gazeta Krakowska”. Nie wiem jak ty, ale ja od wczoraj zupełnie inaczej patrzę na tę sprawę.

Jaś, siadając przy swoim stoliku, wziął do reki gazetę.

– I co o tym sadzisz? – Bogdan wyraźnie czekał na opinię Jasia.

– No cóż. Skoro naukowcy uważają, że wykopana mumia ma po tylu tysiącach lat jakieś tam aktywne cząsteczki, to myślę, że mają rację. Znają się na tym i trudno podważać ich opinie.

– Nie mogę, Jasiu, tak do końca zgodzić się z tym, co tu piszą. Wczoraj nawiązałem kontakt z tą mumią. Nie spodzie-

wąłem się, że przyjdzie mi to tak łatwo. Będziesz się śmiał, ale z tego, co mi przekazała, jest pogrążona od tysięcy lat w głębokim letargu. A teraz uważaj. Zgodnie z jej słowami ma za 25 lat przebudzić się, odżyć i przybrać ludzką postać.

Jaś, pomimo swoich problemów, spojrział na przyjaciela i uśmiechnął się.

– Zwykle ci wierzę, Boguś, jednak tym razem potraktuję twoje słowa z przymrużeniem oka.

– Nie wierzysz mi?

– Tym razem nie do końca. Wszyscy wiemy, że masz jakieś predyspozycje, by czytać w ludzkich myślach, że umiesz nawiązać kontakt z istotami pozaziemskimi, a także przewidzieć przyszłość i już nie raz nam to udowodniłeś. Zgadzam się też, że jesteś doskonałym medium, ale żebyś rozmawiał z mumią to chyba lekka przesada.

– Dzień dobry, moi drodzy, przepraszam za spóźnienie – przerwał im rozmowę nauczyciel.

– Nim zacznę lekcję, chciałbym życzyć wam, Jasiu i Małgosiu, powodzenia i samych sukcesów na angielskim uniwersytecie. Nie muszę mówić, że jesteście chlubą naszej szkoły, a ja osobiście cieszę się, że potrafiłem zainteresować was tak fascynującym przedmiotem jak fizyka.

– Dziękujemy za wszystko, profesorze, co pan dla nas zrobił i oczywiście przepraszamy za wszystkie nasze wybryki – Jaś stojąc, zwrócił się do klasy.

– I wam dziękuję, w imieniu swoim, jak i Małgosi, za wszelką pomoc i wspaniałe koleżeństwo okazywane przez wszystkie lata, jakie spędziliśmy razem. Będzie nam brakować waszego towarzystwa. Pocieszamy się tym, że będziemy przyjeżdżać, jak tylko będziemy mogli.

– Myślę, że możecie sobie o tym porozmawiać po lekcji. Musimy się teraz pospieszyć, bo straciliśmy sporo czasu – przerwał Jasiowi nauczyciel.

– To spotykamy się jak zwykle? Na naszym miejscu o siedemnastej? - spytał szeptem Józek.

– Wstąp po nas, jak będziecie iść – Jaś spojrział ponownie na szczyty gór, które tonały w popołudniowym słońcu.